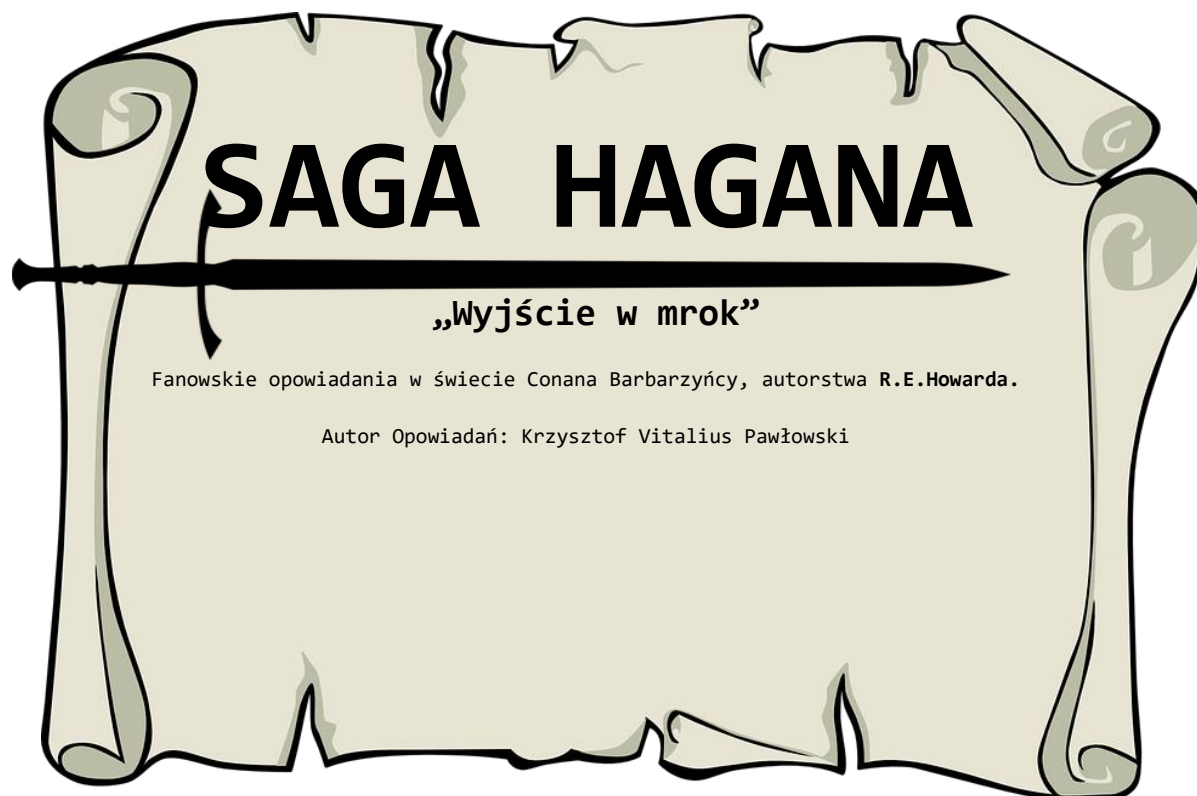






PROLOG

W czasie wielu przygód Conan spotkał na swojej drodze znacznie więcej pięknych kobiet, niż można by to oszacować. Z większością z nich dzielił swe łoża, aby następnego dnia lub kilka tygodni później znów wyruszyć na szlak. Wszystkie te godziny uniesień były wypełnione zwierzęcą rządzą i dziką namiętnością. Rozkosze te przeważnie też zalewane były wszelkiego rodzaju winem lub innymi trunkami. Dlatego nikogo nie winno dziwić to, że potomstwa Króla Conana może być mnogo. Ktoś nie przychylny, panującemu na tronie władcy Aquiloni, powiedział kiedyś żartobliwie, iż niemożliwością jest wejść do jakiegokolwiek tawerny na całym świecie i nie spotkać tam bękarta króla. Być może jest to lekka przesada, jednak jak w każdej historii tak i w tej, jest ziarno prawdy.

Okazuje się bowiem, że prawdą jest fakt, iż Król Conan zostawił po sobie co najmniej jednego syna. A przynajmniej takiego, o którym niedługo będzie głośno za sprawą jego przygód spisanych przeze mnie. Zapytacie zapewne teraz, kim była lub jest jego matka? Wszystko na to wskazuje, że jest nią Zelata, wiedźma z dzikich ziem. Czemu nie mam pewności? Bo nigdy nie powiedział mi tego wprost. Zresztą tak jak jego ojciec, Hagan nie był zbyt wylewny w sprawach innych niż te, które w danej chwili zaprzętały mu głowę.

Jednak najciekawsze z tego wszystkiego jest to, że Haganowi los dał zupełnie inną ścieżkę sławy i chwały. Rzucił mu pod nogi trochę inne umiejętności i trochę inny wygląd niż jego legendarnemu ojcu.

Będą to przygody o czynach Hagana, który był synem Conana z Cymerii, króla Aquiloni, króla złodziei, kapitana piratów Czerwonego Bractwa, zabójcy Piktów, potworów i magów. Człowieka ze stali i z gorącym sercem.

Będą to historie o losach syna, który próbował dorównać swemu ojcu, a przynajmniej taki był jego zamiar... .

TA HISTORIA MIAŁA MIEJSCE GDZIEŚ NA PÓŁNOCNYM WSCHODZIE CYMERII. W DZIKIM I STARYM LESIE NIEDALEKO GÓR GRANICZNYCH Z ASGARDEM. HAGAN SZUKAŁ TAM CISZY I SPOKOJU, PRAWDY I CHŁODU SVOICH CYMERYJSKICH PRZODKÓW. TO TUTAJ ZROZUMIAŁ JAKIMI UMIEJĘTNOŚCIAMI OBDARZYL GO LOS, BO RACZEJ NIE BYŁ TO CROM.

Noc była cicha i zimna. W oddali rozchodziło się ujadanie wilków spragnionych ciepłej i pożywnej krwi. Wśród tych ciemności i gwiazd, które jakby bały się oświeślać dziką i barbarzyńską Cymerię, stała samotna i stara chatka. Wśród ubożego wnętrza, na prowizorycznym posłaniu leżał wysoki i dobrze zbudowany mężczyzna. Miał czarno-krucze włosy i zimne, niebieskie oczy. Jego postura była atletyczna, mięśnie wyraziście zarysowane, lecz bez barbarzyńskiej dzikości. Nie były one wielkie i sprężyste, to było ciało zwinne i giętkie mężczyzny. Był odziany w ciemno-brązowe skóry przepasane ciężkim pasem ze stalową klamrą. Na nogach miał wytrzymałe sandały podróżne, sznurowane trochę ponad kostkę. Koło jego prawej ręki leżał ukryty w ciężkiej pochwie, długi i solidny miecz. Niedaleko jego posłania leżała też torba podróżna wykonana z koziej skóry.

Jego rysy twarzy były delikatne, a tygodniowy zarost tylko trochę dodawał jej srogości. Jednak gdy otworzył swoje oczy, można było w nich dostrzec przyczajoną dziką inteligencję i groźbę. Te oczy nie pasowały do ucywilizowanego człowieka.

Leżał tak na plecach już od kilkunastu minut, wpatrzony w drewniany i spróchniały sufit. Przybył w to ciche miejsce, aby pobyć sam i porozmyślać nad tylko jemu wiadomymi sprawami. Jednak regularnie od trzech dni, w środku nocy zaczął budzić go kobiecy głos. Był oddalony, słaby i przepełniony żalem oraz goryczą. W końcu Hagan odpowiedział cichym, lecz pełnym mocy oraz charakteru głosem.

- Czego chcesz kobieto? Nie widzisz, że śpię?

Wojownik do tej pory nie odzywał się do natarczywej zjawy. Jednak dzisiejszej nocy miał już dosyć. Jego ciało nie drgnęło nawet o milimetr, gdy głos odpowiedział.

- Pomóż mi. Pomóż dobry Panie!

- A skąd taka pewność, że jestem dobry? Albo że Ci pomogę?

- Pomóż mi, bo cierpię!

Hagan przymknął powieki. To nie pierwszy raz, ani nawet setny, kiedy jakaś zjawa czy duch przerwała mu jego sen, czy jakąkolwiek inną czynność.

- Odejdź. Nie interesujesz mnie Ty, ani Twój problem.

- Pomóż mi! Proszę!

- Odejdź, powiadam! Daj spać tym co, jeszcze mogą się obudzić!

Po tych słowach głos umilkł, a wojownik nie musiał już otwierać oczu. Po dłuższej chwili zasnął snem spokojnym, acz czujnym. Jednak chwilę przed zaśnięciem wrażliwe ucho mogło usłyszeć, jak szepcze cicho, że „Nawet tutaj! Na Croma!”.

Następnego dnia o poranku, gdy biała rosa otulała jeszcze trawy starego lasu, Hagan wyszedł, aby poszukać drewna na opał. Gdy wędrował między drzewami, nagle poczuł obrzydliwy zapach gnijącego mięsa. Powoli chwycił za rękojeść miecza i uważnie rozejrzał się dookoła. Jednak w pobliżu nie dostrzegł żadnych szczątków. Zapach był tak wyrazisty, jakby truchło leżało koło niego. Spokojnie i powoli zrobił jeszcze kilka kroków, rozglądając się uważnie lecz nadal nic nie widział. W tym samym momencie zobaczył przed sobą wpół eteryczną postać kobiety, której ciało było w stanie rozkładu. Przystanął, puścił broń i spojrzawszy się w puste oczy zjawy bez trwogi rzekł.

- Uparta jesteś. Co miałbym zrobić, abyś dała mi spokój?

Zjawa unosiła się delikatnie nad zieloną i moką trawą, a jej postać falowała w promieniach mocnego wschodzącego słońca. Na sobie miała tylko starą czerwoną tunikę, która odkrywała więcej niż mniej. Nie odezwała się tym razem, jedynie wyciągnęła rękę i wskazała kierunek, gdzieś w głąb kniei. Kiedyś musiała być wysoka i dobrze zbudowaną, dojrzłą kobietą.

Wojownik spojrzał się w kierunku, w którym wskazała zjawa. Wielokrotnie miał do czynienia z duchami czy innymi eterycznymi istotami. Już od dzieciństwa matka uczyła go o ich zwyczajach i sposobie zachowania. Jednak z każdym rokiem i z coraz częstszymi odwiedzinami tych istot przestawał na nie reagować. Może raz czy dwa próbował jednej, czy drugiej pomóc, ale zawsze kończyło to się śmiercią innego, żyjącego człowieka. Dlatego tak bardzo mocno opierał się przed pomocą, bo nie widział w tym większego sensu. Pomagać tym, co nie żyją, zabijając tych, co jeszcze oddychają?

Gdy Hagan mijał zjawę, idąc we wskazanym kierunku, rzekł.

- Robię to tylko dlatego, żebyś dała mi wreszcie spokój.

Jego marsz przez stary las trwał może dwie godziny. W tym czasie mijał wysokie i rozłożyste drzewa, których kora była gruba niczym kciuk. Nie liczył na to, że zjawa ma prosty problem. Jego wiedza na ten temat wielokrotnie mówiła o niedopełnieniu obrządków pogrzebowych lub klątwie albo czymś jeszcze bardziej skomplikowanym. Dlatego szedł z ponurą miną, a przez jego wysokie czoło przechodziły bruzdy wściekłości. Nie należał do tych, którzy ukrywali swój gniew. Zresztą tak jak jego ojciec, dość często wpadał w niepohamowaną furję.

W końcu, w oddali między drzewami dostrzegł drewnianą i dość dobrze zachowaną chatę. Była zbudowana z grubych bali drzew, a jej dach widział już niejedną zimę. Przed wejściem do niej, na palenisku piekł się zając. Hagan przysiadł i zaczął dokładnie oglądać cel swojej wędrówki. Istoty spomiędzy światów nie myliły się co do rodzaju ich problemu i potrafiły dość dokładnie wskazać miejsce ich tragedii. Nawet na dystansie dwóch godzin marszu, palec zjawy zapewne bezbłędnie wskazywał właśnie te domostwo.

W końcu dostrzegł coś bardzo istotnego. Na jednej ze ścian chaty wisiał znajomy symbol. Instynktownie przykucnął jeszcze niżej i przez zaciśnięte zęby warknął cicho.

- Czerwone psy! Cemu mnie to nie dziwi?

Wiedział, że w tym momencie były dwie możliwości. Albo właściciel chaty już dawno go zauważył i właśnie w tej chwili jest obserwowany z ukrycia, albo jest nieświadom jego obecności. Tak czy inaczej, nie miał wyjścia, musiał poczekać. W końcu coś się wydarzy, a Hagan był przygotowany na wszystko.

Jego prawa dłoń delikatnie muskała głowicę rękojeści miecza, gdy po kilkunastu minutach z chaty wyszedł olbrzymi, rudy i strasznie zapuszczony mężczyzna. Poruszał się ciężko, a w prawej dłoni trzymał krótki nóż myśliwski. Przykucnął przy palenisku i zaczął doglądać piekącego się, oskórowanego szaraka.

- Jeden Vanir. Może myśliwy, a może dezterter.

Wymamrotał pod nosem Hagan, wciąż wpatrując się w olbrzyma, który był przynajmniej o głowę wyższy od niego.

Jednak coś mu nie dawało spokoju. Kim jest ta zjawa dla tego kundla? A jeżeli to zły duch? Zabijać Vanira dla zabicia Vanira to jedna rzecz, ale zabijać go, aby pomóc złemu duchowi, to już za dużo.

Ta sytuacja nie miała dobrego wyjścia. Wojownik postanowił działać. Powoli, niczym pantera, wyłonił się z ukrycia i podszedł na kilkanaście kroków do nieznajomego. Nie wyciągnął miecza, tylko stanął szeroko na nogach i czekał na reakcję Vanira. Ten bez żadnych oznak paniki wyprostował się i spojrzał na przybysza. Stali tak dłuższą chwilę w ciszy. W końcu czerwonołłosy wszedł bez pośpiechu do chaty, aby wyjść z niej, dzierżąc już nie nóż myśliwski, a bojowy topór.

Rozżarzone drewno, polewane kapiącym tłuszczem zajęcia co chwilę wypuszczało wesołe iskry ognia. Hagan powoli wyciągnął długi miecz, a dźwięk wydobywającego się ostrza z pochwy, przeszył zielone połacie lasu niczym pieśń żałobna, przelatująca między grobami cmentarzyska. Jego mięśnie napięły się do granic możliwości. Przeciwnik powoli zaczął iść w jego kierunku, obrzydliwie szczerząc połówkę i nieliczne zęby.

Pierwszy cios Vanira był szybki i miał spaść prosto na czerep Cymeryjczyka, jednak ten odskoczył i ciął płasko w prawe ramię czerwonołosego. Niestety nie dotarł do celu, bo przeciwnik odchylił się na bok, unikając tym samym groźnego ostrza.

Nastała chwila wytchnienia. Hagan wiedział już, że natrafił na doświadczonego plemiennego wojownika. Ten z kolei też przestał lekceważyć nieznajomego.

Kolejne ciosy, niczym pioruny zaczęły spadać na gardę i uniki Cymeryjczyka, a bojowy okrzyk Vanira rozdzierał las niczym stare płótno. Topór wroga co chwilę zmieniał kierunki uderzeń, a Hagan musiał naprawdę mocno się skupić. Wiedział, że jego jedyną szansą jest uderzenie kiedy ten popełni jakiś błąd. Jednak owy błąd nie nadchodził. Pot zaczął obficie pojawiać się na obu skroniach walczących. Ich oddechy zaczęły być coraz głośniejsze. Hagan próbował przechodzić do kontrataku, jednak niespożyte siły jego przeciwnika, skutecznie mu to utrudniały. Z każdą chwilą pojedynek przeradzał się w coraz bardziej chaotyczną i desperowaną walkę, której końca nie było widać. Nagle Vanir z całej siły i z niespotykaną zjadliwością wymierzył w niego solidnego kopniaka. Cymeryjczyk poczuł na klatce piersiowej silne i zapierające dech w piersiach uderzenie. Cios był tak mocny, że posłał go na ziemię. Tylko cymeryjskie zmysły uchroniły go od śmierci, bo w ostatniej chwili przeturlał się na prawą stronę, unikając śmiertelności uderzenia z doskoku. W oczach jego przeciwnika było już tylko szaleństwo i żądza mordu. Miał chwilę, aby wstać, gdy czerwonołłosy znowu zaszarżował, jednak tym razem popełnił błąd. W przypływie szału Vanir nie dostrzegł, że Hagan zmienił rękę, w której dzierżył miecz. To był moment, gdy długie proste cięcie rozstrzygnęło morderczy pojedynek. Ostrze brutalnie rozerwało mu pachwinę, następnie bebechy i klatkę piersiową. Czerwona i ciepła krew trysnęła na zdeptaną trawę i liście. Wojownik nie

dokończył swojego ostatniego ataku, padając na ziemię z wylatującymi wnętrznościami. Hagan poczuł, że gdzieś między koronami drzew właśnie uleciał duch tego barbarzyńskiego wojownika.

Nie czekał długo. Po wzięciu kilku głębszych oddechów wytarł miecz o czyste skrawki ubrania Vanira i powoli wszedł do chaty. W środku panował gigantyczny bałagan i przerażający smród. Woń ta była identyczna do tej, którą poczuł ponad dwie godziny temu. Rozejrzał się uważnie. Był w pierwszym, największym pomieszczeniu jednak ohydny zapach dobywał się z innego, mniejszego pokoju. Ten natomiast był oddzielony od głównej izby starą i grubą kotarą. Czujnie, dzierżąc miecz w prawej dłoni, odsłonił wejście.

Na środku było spore drewniane łóżce, obłożone dookoła świeżymi kwiatami. Na nim zaś leżało ciało, przykryte brudnym i spleśniałym płótnem. Hagan domyślił się, po małych fragmentach materiału, że kiedyś to płótno było aksamitnie białe. Podszedł bliżej i odsunął je delikatnie z góry.

To była twarz zjawy. Czyżby znów zabił człowieka pchany intrygą i wolą złych mocy? Przecież w tym wszystkich nie było nic obrzydliwego ani przerażającego! Żadnego kultu czy widocznych prób jakiegokolwiek zaklęcia. Owszem kobieta ta nie była pochowana, jednak to o niczym nie świadczy. Jest wiele obrządków pożegnalnych, które zakładają długie czczenie zmarłej osoby, zanim się ją pogrzebie.

Gdy miał już wychodzić, rozwścieczony widokiem pięknych kwiatów i zmarłej kobiety, coś przykuło jego wzrok. Na wysokości brzucha zmarłej, płótno było nienaturalnie wysokie. Posiadało też kanty, jakby nieboszczka coś trzymała w dłoniach. Ostrzem miecza i szybkim ruchem odrzucił zgniły materiał na bok. To, co po chwili ujrział, napełniło jego serce grozą. Zmarła miała na dłoniach jak i stopach żelazne kajdany z namalowanymi przedziwnymi symbolami.

Gdy tak chwilę stał, z przerażeniem i gniewem w oczach, przypomniał sobie niedawno zasłyszaną historię o oszalałym wodzu jednego z Vanirskich plemion. Człowiek ten, po tym jak zmarła jego ukochana, miał popaść w taki smutek i trwogę, że poprzysiągł zatrzymać jej ciało i ducha na tej ziemi, tak długo jak on sam będzie żył.

Nie zastanawiał się długo. Rozciął kajdany, wykopał niedaleko od chaty grób i złożył w niej ciało nieboszczki. Truchło szalonego z miłości wodza pochował po drugiej stronie chaty. Hagan wierzył, że ludzie, którzy popadli w obłąd z miłości, nie byli tak do końca złymi ludźmi. Po prostu postradali rozum, a nie serce.

Od tamtej pory żona szalonego wodza Vanirów, Firia już nigdy mu się nie objawiła. Jednak jakimś cudem, czy zrządzeniem losu, o jego czynie usłyszeli inni. Czy to był przypadek, cichy świadek? Czy może jakaś siła wyższa odpowiedziała, o jego godnym pochwały czynie? Tego Hagan nigdy się nie dowiedział.

Jednak wtedy zrozumiał, że los dał mu możliwości, których nie może się wyprzec ani zagłuszyć. Wtedy też Hagan zyskał przydomek.

Hagan, rozmawiający ze zmarłymi.

CIĄŁO BEZ KOŚCI

PO KILKU TYGODNIACH SPĘDZONYCH W RODZINNEJ
CYMERII HAGAN NAJAŁ SIĘ JAKO OCHRONIARZ
KARAWAY IDĄCEJ PRZEZ KRÓLESTWO GRANICZNE DO
NEMEDII. PRZED NIM ROZCIĄGAŁY SIĘ WIELKIE
PONURE MOKRADŁA OTULONE STARYM LASEM.
KARAWANA JAKO JEDYNA DAWAŁA SZANSĘ
PRZEJŚCIA TEGO KRÓLESTWA ŻYWYM.

Ciężkie czarne chmury niosące ze sobą wielkie krople deszczu uderzające w ziemię, niczym bębny na niewolniczej galerze, zasłaniały całe wieczorne niebo. Jednak wśród tej naturalnej symfonii słyhać było przekrzykiwania ludzkich gardeł i odgłosy morderczej walki. Trzy wozy zaprzęgnięte w muskularne cymeryjskie byki stały zakopane w błocie, aż do połowy drewnianych kół. Na nich zaś stali przerażeni i niezdolni do walki pasażerowie. Dookoła resztki najemnych ochroniarzy z dowódcą karawany na czele, odpierali ataki niewypowiedzianej grozy. Mokradła, wilgoć i zbliżająca się ciemność nocy potęgowały uczucie nieuchronnej porażki.

To z czym walczyli, oblepieni błotem i przemoknięci do suchej nitki najemni ochroniarze, wydawało się najczarniejszą zmorą wyciągnięta z najstraszniejszego koszmaru. Ludzkie ciała, wysuszone do kości niczym mumie, jednak posiadające w kościstych oczodołach zamglone gałki oczne, atakowały już od kilku dobrych minut. Z ich gardeł unosiły się tylko charczące i gardłowe warczenie. Te ludzkie worki na kości nie posiadały broni, raniły i zabijały jedynie twardymi jak kamień dłońmi z długimi i brudnymi pazurami. Zwieńczeniem wyglądu tych sług ciemności, były fragmenty starych łachmanów, kawałki pociętych pancerzy czy nawet skrawki ozdobnych i kiedyś wartościowych szat.

W samym środku potyczki, gdzie stał wóz z przerażonymi kobietami z dziećmi i modlącymi się starcami, walczył wysoki i czarnowłosy mąż. Jego ciosy długim stalowym mieczem były szybkie i celne. Finezją nadrabiał brak gigantycznej cymeryjskiej siły. Te ludzkie kukły nie były w stanie dosięgnąć ramion czy pleców charakternego wojownika. Jego kondycja przewyższała wszystkie te najemne moczymordy, które teraz sapiąc i prychnając z bólu nierozciągniętych i przepitych mięśni, próbowały doczekać kolejnego dnia.

Jego miecz niczym bicz woźnicy chlastał i odrąbywał kończyny, starych i pustych ciał prawie-umarłych. Gdy nagle ktoś zakrzyknął!

- To koniec! Wszystkich nas wyrzną! Musimy spróbować uciec na południe! Do zajazdu!

Ktoś inny odpowiedział w zgiełku śpiewającej stali i odgłosach rozrywanych kości.

- A kto zostanie, aby zatrzymać ten diabelski pościg!?

Wtedy przez całe pobojuwisko przeleciało jedno zdanie, wypowiedziane z taką siłą i mocą, że nikt nie miał wątpliwości, co ma robić w danej chwili. To był Hagan! Świeży najemny narybek, który zatrudnił się kilka dni temu, przed wjazdem na tereny Królestwa Granicznego. Nie mówił zbyt wiele, nie był za bardzo skory do

żartów jednak jego postawa i to zwierzęce spojrzenie mówiły same za siebie. Ten człowiek był niebezpieczny.

- Ja ich zatrzymam! Uciekajcie!

Tym umęczonym potyczką i ranami ludziom nie trzeba było dwa razy powtarzać. Od strony ostatniego wozu już biegło kilku zdyszanych najemników i woźnica. Gdy dopadli do środka karawany, zabrali kobiety, dzieci i starców. Po kilku minutach wszyscy, co uchowali życie, uciekali w mrok, na południe do oddalonego o kilka kilometrów zajazdu. Hagan przez chwilę biegł z nimi, lecz w pewnym momencie zatrzymał się, odwrócił i lekko dysząc, zacisnął mocniej miecz. W ciemnościach przed nim znów pokazały się majaczące kształty tych nienaturalnie wychudzonych żywych zwłok.

Co za plugawa magia nie pozwala im umrzeć i odejść na wieczny spoczynek?

Pomyślał czarnowłosy wojownik, ocierając lewą ręką czoło z potu i krwi. Wiedział, że te spalone wieprze, które teraz uciekały na południe, bez zastanowienia zostawiłyby kobiety i dzieci, jeżeli to uratowałoby ich żałosne tłuste dupy. Wiedział też doskonale, że właśnie śmieją się z jego, wydawać by się mogło lekkomyślnej postawy.

Żałosne ścierwa, jeszcze się z wami policzę, ale najpierw zajmę się tym cholerstwem.

Naprzeciw Hagana zatrzymało się siedem przerażających i groteskowych postaci. Ani jeden mały ruch nie zmącił ich nieruchomej linii frontu. Te chude twarze nie posiadały żadnej mimiki, nie można było odczytać niczego z ich sinych warg, lecz wojownik czuł ich przeciągane słowa i zdania. Były niczym dźwięki mamrotania wiekowego starca, które w jakiś sposób wydawały się pełnymi wyrazami. To na pewno były pozostałości ich dusz, które jeszcze nie obumarły całkowicie.

„Ja muszę wykonać wolę pana!” Resztki jednej duszy mówiły. Inna zaś przeciągle wołała, że *„nie zawsze tak będzie! W końcu zginę lub ty zginiesz!”* Jeszcze inna, której ciało było najchudsze i najniższe ze wszystkich wręcz łąkała *„ja już więcej tego nie wytrzymam, ja już nie mogę.”*

Te przerażające i mordercze istoty w rzeczywistości były marionetkami w rękach kogoś potężniejszego niż byle stygijski akolita. Były żyjącymi ludźmi, chodź zawieszonymi między życiem a śmiercią. Ich rozkład ciał został zatrzymany, a ich funkcje życiowe zminimalizowane do tego stopnia, że ich siła i wytrzymałość na pewno pochodziła z innego źródła, niż ich własne organizmy. To były bezkrwiste worki kości wykonujące czyjeś polecenia. Dlatego pokonanie ich nie rozwiązywało problemu. Trzeba było zabić ich pana, jednak wpierw Hagan musiał przeżyć.

Na Croma!

Deszcz przybrał na sile jeszcze bardziej. Droga stała się grzęzawiskiem, a każdy krok był okupiony nie lada wysiłkiem. Oblicze czarnowłosego wojownika skamieniało, a dłonie jego zacisnęły oburącz miecz. Nie był pewien czy przeżyje, ale wiedział, że jest taka szansa i to mu wystarczało. W końcu ruszył na przeciwników z przerażającym grymasem furii.

Ludzkie marionetki ruszyły w tym samym momencie, jakby rażone impulsem nakazującym im zaatakować, gdy tylko ich przeciwnik zrobi to samo. Hagan z niesamowitą zręcznością skoczył na środkowego nieumarłego, wbijając mu miecz prosto w klatkę piersiową. Huknęły łamane żebra i gnieciony kręgosłup, gdy stojąc na nim, wyrwał z niego ostrze, gotowy sparować lub odskoczyć w razie nagłego uderzenia. Nie mylił się, wróg otoczył go kołem i z każdej strony zaczęły nadlatywać razy szponiastych dłoni nieumarłych. Grube skóry będące jego jedyną zbroją były rwane i szarpane niczym delikatne płótna, cięte ostrym jak brzytwa nożem. Jednak to na początku nie robiło na nim większego wrażenia. Cios za ciosem wirował wśród wrogów jak tancerz. Systematycznie i przerażająco szybkimi uderzeniami, odcinając co chwilę jakąś kończynę czy zadając poważne rany. Jednak te obrażenia nie zatrzymywały jego wrogów. Natomiast ciało Hagana otrzymywało coraz więcej razów, które teraz broczyły krwią znacznie szybciej. Mimo to ten furiał w kruczych włosach jakby przyspieszał, a nie zwalniał, gdy krew zalewała oczy z pociętej głowy. Z każdą chwilą, która zbliżała go do niechybnej śmierci, stawał się szybszy, wytrzymalszy i bardziej zabójczy. Nagle nadarzyła się wyjątkowa okazja i długi miecz cymeryjczyka ściął dwie głowy nieumarłych, na raz. Ciężko oddychając i stojąc na obolałych nogach, rozejrzał się niczym zakrwawiony wilk za resztą swoich ofiar. Dwie ludzkie marionetki, jedna bez ręki, druga jeszcze jakimś cudem cała, patrzyły się na niego pustym i bezmyślnym spojrzeniem. Wojownik wiedział, że jeżeli nie są to ostatnie istoty na tym grzęzawisku, to dzisiejszego ranka już na pewno nie obejrzy wschodu słońca.

Hagan nie bał się śmierci, jedynie możliwość kalectwa wywoływało u niego ciarki. Chociaż w takich chwilach też nie do końca był to strach. Raczej pełna świadomość tego, że dla cymeryjczyka lepsza jest śmierć niż bycie kaleką. Bez znaczenia czy nadal groźnym, bo jednak kaleką.

Stojąc tak w deszczu i nie widząc innych możliwości, cymeryjczyk zacisnął zęby i powoli ruszył na swoich wrogów. Nie miał już sił na żaden plan. Jego przeciwnicy znów jakby kopiując jego działania, ruszyli w taki samym tempie. Deszcz nie przestawał złowrogo ciskać kroplami, gdy pierwsze uderzenie spadło na dwóch przeciwników Hagana. Cios ten poszedł na lewego truposza, prosty obrót z uderzeniem w głowę. Gdy miecz dosięgnął wroga, który właśnie upadał na ziemię z odciętym ramieniem i fragmentem czaszki, przeciwnik po prawej dwukrotnie chlasnął cymeryjczyka po plecach, raniąc go jeszcze mocniej i dotkliwiej niż do tej pory. Jednak ten nie wykonał obrotu na pokaz, wykorzystując siłę rozpędu uderzenia, dokończył obrót, trafiając wroga pod żebra i wbijając tym samym miecz, aż po bark, po drugiej stronie.

Ostatni z ghuli padł na ziemię, nie wykazując żadnych oznak istnienia. Hagan z ledwością uniósł zakrwawione oczy i rozejrzał się w ciemnościach za jakimkolwiek drzewem. Gęste krople deszczu i spływająca krew z licznych ran na głowie, znacznie ograniczały mu pole widzenia. Jednak w końcu wypatrzył dość solidne i rozłożyste drzewo, kilkadziesiąt metrów od niego.

Ruszył bardzo powoli, a idąc, wyciągnął z torby puzderko z własnego wyrobu maścią na rany. Wcierał ją wszędzie tam gdzie mógł dosięgnąć, a gdy stanął pod drzewem, wziął głęboki oddech i wdrapał się na pierwszą grubą gałąź. Tam po kilkunastu minutach zasnął, nie dbając już o nic więcej.

...

Nad ranem obudziło go krakanie dwóch czarnych jak węgiel kruków, łypiących na niego podejrzliwie ślepiami z onyksu. Nie spadł z drzewa, nie został zjedzony ani nawet żadne robactwo nie zdołało go obleźć. Te maleńkie zwycięstwa dawały nadzieję, że jednak przeżyje kolejny dzień, mimo że poranne słońce nadal było schowane za deszczowymi chmurami.

Bolało go wszystko, a rany nieposmarowane maścią piekły żywym ogniem. Jednak nie wyczuwał skrajnego osłabienia lub zawrotów głowy, które mogłyby świadczyć o tym, że został zatruty albo, że wdała się gdzieś trupia zgnilizna. Powoli zszedł z drzewa, wziął kilka dużych łyków wody z bukłaka, przegryzł suchy chleb z wysuszonym kawałkiem mięsa i ruszył w kierunku rzekomego zajazdu. Zostawiając za sobą przemoknięte wozy z bagażami i resztki ludzkich ciał, jedzonych właśnie przez bagienne stworzenia.

Szedł cholernie nie równą, błotnistą i pełną dziur drogą. Śladów ucieczki mężczyzn i kobiet nie było widać. Zresztą nic dziwnego, biorąc pod uwagę wczorajszą ulewę. Z każdą minutą organizm Hagana regenerował się znacznie szybciej niż u jakiegokolwiek przeciętnego człowieka. Dlatego już po godzinie, gdy na horyzoncie starych spróchniałych drzew i wszechogarniających szarych mokradeł pojawiły się kształty rzeczonego zajazdu, wojownik czuł się dobrze. Nie do tego stopnia, aby przetrwać taką samą walkę jak w nocy, ale żył i to się liczyło.

Gdy był już kilkanaście metrów od drewnianych drzwi, poczuł w powietrzu coś niedobrego. To nie był tylko zapach krwi, przecież niektórzy uciekający byli ranni. W powietrzu wisiał strach, a dookoła zajazdu panowała tak dobrze znana Haganowi, grobowa cisza. Przystanął i przez naprawdę dłuższą chwilę zaczął oglądać bardzo uważnie budynek. Ściany, jak i drzwi domostwa były poniszczone, a wpół otwarta stajnia ledwo co trzymała się na zbutwiałych krokwiach. Dach nie był dziurawy, ale też nie był zadbany jak na działającą oberżę. Najdziwniejsze jednak było to, że przy wejściu wisiała, jeszcze tłąca się latarnia karczemna.

To nie wygląda mi na miejsce dla żywych. Czemu nie słyszę żadnych odgłosów ze środka? Przecież ta rudera z ledwością pomieściłaby tych wszystkich ludzi, którzy w nocy tutaj uciekali. Nie możliwe, że nikogo nie jestem w stanie usłyszeć.

Jego mięśnie nie odpoczęły całkowicie, nadal były spięte i obolałe, jednak nie miał innego wyjścia. Musiał wejść do środka.

Trzymając miecz w prawej dłoni, pchnął drzwi od przybytku. Te ze zgrzytem otworzyły się ukazując Haganowi duże pomieszczenie zajazdu. Wszystkie ławy i stoły były poprzewracane, a gdzieś tam widać było plamy zaschniętej krwi. Wojownik bardzo powoli i uważnie rozejrzał się dookoła. Kilka metrów przed nim był zniszczony szynkwaz, jakby przepołowiony, otwierający tym samym drogę do zamkniętych drzwi na zaplecze. Po lewej stronie klika metrów w głąb sali, zobaczył schody prowadzące prawdopodobnie do kilku pokoi gościnnych na piętrze. Dopiero teraz ujrzał pod stołami kilka sztuk broni, bez ich właścicieli, porzucone bezwiednie. Pomimo tego wszystkiego nie dojrzał wyraźnych śladów walki. Powoli zaczął podchodzić do zniszczonego szynkwasu, a z każdym krokiem czuł w powietrzu zwiększający się odór zgnilizny i rozkładających się ciał. Gdy był metr od wejścia na zaplecze, ujrzał pod stopami zarysowane i poniszczone deski. Tak jakby ktoś ciągnął po podłodze, coś naprawdę ciężkiego. Na jego czole pojawił się pot, nie z

gorąca, lecz z napięcia, jakie z każdą chwilą wzrastało w jego przemęczonym organizmie. Drzwi okazały się jednak lekko uchylone i to właśnie z pomieszczenia za nimi, wydobywał się odór.

Końcem miecza pchnął je do środka.

Gdy ujrzał wnętrze, od razu zacisnął prawą dłoń na rękojeści broni i szpetnie przeklnął. Pomieszczenie było pełne gnijących ludzkich ciał, ułożonych w szeregu, od jednej najdalszej ściany do drugiej. Byli tam wszyscy, oprócz dzieci, a w rogu tej rzeźni zionęła dość pokaźna dziura w podłodze. Tak mniej więcej, na dwa metry wzrostu i tyle samo szerokości. Gdy Hagan z wytężonymi do granic możliwości zmysłami, badał ciała zabitych, zauważył, że nie mają prawie wcale ran śmiertelnych. Szereg wyschniętych i opróżnionych z krwi trupów leżał jakby ułożony na chwilę. Wszystkie obrażenia, jakie posiadali Ci zmarli powstały na pewno w czasie nocnego ataku ghuli.

Nagle, ze śmierzdzącej jamy, dobiegł do wojownika słaby kobiecy krzyk. Był krótki i płytki, dlatego ten nie myśląc już ani chwili dłużej wbiegł w ciasny, pokryty jakimś dziwnym śluzem i fragmentami naskórka, tunel. Przez całe życie nie było i nie będzie mu żal chłopów, ale do kobiet tak jak i ojciec, Hagan miał słabość. Szczególnie do tych, które potrzebują pomocy.

Gdy wbiegł w ciemność, zatrzymał się na chwilę i wyjąwszy z torby garść dziwnego pyłu, obsypał nim swój miecz, który w krótkiej chwili zajaśniał blado-niebieskim i delikatnym światłem.

Teraz mrok mi nie przeszkodzi.

Warknął groźnie i ruszył, trzymając w obu dłoniach świecący oręż. Po chwili, ku jego zdziwieniu wbiegł do dość dużego pomieszczenia. Po lewej wznosiły się w górę strome kamienne schody, a po prawej widać było dalszy korytarz, też wykonany z tych samych bloków. Jego świecący proszek nie dawał dużego blasku, więc pole widzenia miał znacznie ograniczone. Ruszył w stronę największego smrodu, w głąb korytarza po prawej.

Już kilka sekund przed jego końcem, usłyszał, jak coś przed nim wije się i młaska. Odgłosy bulgotania i wydobywających się gazów jelitowych, też doszły do jego uszu. Nagle rozległ się głęboki i mrozący krew w żyłach głos.

- Kto to mnie odwiedził? Syn zabójcy boga z wieży?! Prawdę mówiąc, nie oczekiwałem, że przeżyjesz spotkanie z moimi sługami. Zbyt wielu was już poległo, aby ktokolwiek mógł myśleć, że pojawi się syn lub córka równa waszemu ojcu.

Hagan stał pośrodku pradawnej komnaty. To, co widział przed sobą, było starym złem, przerażającym i zdeformowanym ludzkim kształtem, nieposiadającym kości, pływającym ciałem. Za tą istotą leżała wpół przytomna i praktycznie naga, ciemnowłosa kobieta.

- Kim jesteś demonie!?

- Demonie? - Odpowiedziała istota, falując wszystkimi kończynami naraz, jak gdyby unosząc się na morzu.- Nie jestem żadnym demonem.- Głos odpowiedział spokojnie.- Byłem kiedyś człowiekiem, wiele set lat temu, a teraz trafiłem na potomka samego Conana!

Hagan gorączkowo szukał wzrokiem po komnacie innych przeżyłych jednak nikogo nie mógł dojrzeć w tych piekielnych ciemnościach. Odezwał się więc z mocą!

- Skąd wiesz, że jestem synem tego człowieka! Przestań błaznować i mów!

- A która istota go nie zna i nie wyczuje jego potomków?

Wojownik był tak wściekły, że nie czekając na dalszą odpowiedź, wrzasnął!

- Tak będziesz odpowiadał!? Giń więc!

Kończąc zdanie, ruszył z całym impetem na wielkie, kilkumetrowe monstrum zrodzone z krwi. Jednak po chwili stanął sparaliżowany. Niczym posąg ze spiżu.

- Nie czas i miejsce, śmiertelny potomku zrodzonego z wojny! Nie czas i miejsce.

Po tych słowach Hagan ujrzał, jak ta istota w ciągu kilku sekund wlewa się do jednego z małych otworów w ścianach komnaty. Rozciągając się niewyobrażalnie, znika w szczelinie nie większej niż jego ręka. Po kilku kolejnych chwilach paraliż ustąpił, a wojownik upadł z impetem przed majaczącą ze strachu, nagą kobietą.

- To ty, ty jesteś tym najemnikiem z Cymerii? - Usta kobiety z ledwością artykułowały wyrazy. Hagan dusząc w sobie gniew człowieka, z którego ktoś właśnie sobie zakpił, odpowiedział, kładąc ciemnowłosą na swoim ramieniu.

- Czy to teraz jest najważniejsze?

Po tych słowach wyszedł, krusząc pod stopami małe kości... .